

665



WARSZAWIACY CZTERDZIESTOLECIA

RYSZARDA HANIN

– W roku 1949 przeniosła się Pani z Teatru Wojska Polskiego w Łodzi do Teatru Polskiego w Warszawie. Jak się wtedy żyło w mieście?

– Z Łodzi zabrałam mnie ze sobą Leon Schiller, który objął Teatr Polski. Zamieszkałam z mężem, Leonem Pasternakiem, w małym mieszkanku domu literatów przy ul. Iwickiej 8. Chociaż nie było to daleko od śródmieścia, mie-

szkało się tam jak na wsi. Wokół były szczerne pola. W miejsce rozebranych ruin zasiano zboże i tuż przy domu wyrosły łany pszenicy. Ludzie byli biedni, nie mieli nic, ale takie to wtedy było nieważne. Była euforia, radość z tego, że się coś zaczyna. Zarabiałam jakieś grosze, chodziłam w tym, co mi pozostało z wojska. Mundur zdjęłam wcześniej, ale sweter wojskowy nosiłam długo i w niczym to mi nie przeszkadzało. Przypominam sobie nawet, że panował snobizm na ubóstwo. Nikt się nie wstydził, że nie ma pieniędzy, nie czuło się potrzeby posiadania.

– Sporo się od tego czasu zmieniło

– To naturalne, że po latach rzeczy nabierają wartości, ludzie mieszczańską. Doskonale rozumiem, że człowiek, który pracuje i zarabia, chce mieć coś z dóbr. Jeden łubi ładnie mieszkać, drugi ładnie się ubrać, trzeci podróżować. No i dobrze! Tylko że u nas w pewnym okresie ujawnił się snobistyczny trend posiadania. To, że ktoś lubi mieć i ma, jest w porządku. Ale doszło do tego, że człowiek zaczął się wstydzić, że nie ma. Teraz z kolei ludzie uczciwie zarabiający nie mogą sobie kupić tego, czego

Ze Zbigniewem Zapasiewiczem w telewizyjnych „Dziadach” w reżyserii J. Kulczyńskiego

Ryszarda Hanin

Fot. Maciej B. Brzozowski

potrzebują. A jeżeli nie mają siły i czasu, żeby się za tym uganiać, wystawać nocami w kolejkach, to wydają pieniądze na wódkę.

– W spożyciu wódki przodujemy na świecie. To widać również na ulicach, szczególnie wieczorem.

– Nie jestem tchórzliwa, ale nie lubię wchodzić do klatki schodowej nocą. Niedawno kręciłam film w Budapeszcie i wciąż jestem pod wrażeniem tego miasta i kraju. Miałam tam pełne poczucie bezpieczeństwa. Wieczorem, po teatrze, ludzie chodzą do kawiarni, restauracji, na głównych ulicach ruch jest ożywiony do 3 rano.

– Na Marszałkowskiej jest pusto o 9 wieczorem. Ludzie spotykają się w mieszkaniach.

– Jeżeli mają czas jechać do znajomych z Ursynowa na Chomiczówkę. Tylko czym, skoro brakuje benzyny. Żeby ożywić ulice nocą, trzeba zapewnić dobrą komunikację, a równocześnie potwierdzać dużo kawiarenek i restauracyjek, w których nie płaciłoby się za strip-tease i dancing, tylko można by w spokoju i niedrogo zjeść coś małego. Chodzi o to, żeby stworzyć pretekst, dla którego ludzie mogliby się spotykać na mieście. Przyznam się Pani, że ja, poza pracą, też nigdzie wieczorami nie chodzę, chociaż mieszkam w Śródmieściu. Kiedy czasem przyjeżdżają znajomi, nie wiem, dokąd się z nimi wybrać, bo na Victorię czy Forum mnie nie stać.

– Ale przeciwko otwarciu nowych lokali zaczęliby natychmiast protestować okoliczni lokatorzy: że hałas, brud.

– Małe restauracyjki nie są hałaśliwe. A brudno jest nie dlatego, że ludzie śmieją, tylko dlatego, że się nie sprząta. W innych metropoliach świata ludzie też śmieją. O kulturze narodu bardziej niż dzieła sztuki i architektura świadczy stan sanitariatów. Znów wracam do mojego ostatniego pobytu na Węgrzech. W małych osadach daleko od Budapesztu nie spotkałam najmniejszej restauracji, w której zaplecze nie byłoby czyste, zaopatrzone we wszystkie utensylia. A kiedy do nas przyjeżdżają koledzy z zagranicy, zachwycają się Warszawą dopóki nie zechcą umyć rąk. Zawsze w takich przypadkach jestem strasznie zażenowana. Tym bardziej, że nie chodzi przecież o luksusy.

– Co Pani, jako profesor szkoły teatralnej, sądzi o dzisiejszej młodzieży? Chodzi mi o jej dojrzałość, samodzielność. Mówi się często, że młodzi ludzie stali się bardziej zamknięci, zaparli w siebie. Jak Pani to widzi?

– Może są mniej dojrzały od pierwszych roczników wstępujących do szkoły po wojnie. Nie przeszli przez żadne kataklizmy, zostali wychowani w lepszych warunkach materialnych. Ale są wrażliwi, nie zauważyłam, żeby byli zamknięci w sobie. Są niedouczeni, ale na to skarżyliśmy się zawsze. No i nie można uogólniać, bo są miasta, z których maturzyści bywają z reguły dojrzałsi i o wiele lepiej przygotowani od innych. Na przykład z Włocławka. Od wielu lat potwierdza się reguła: jeśli kandydat jest z Włocławka, to będzie dobry. Byłam tam kiedyś na spotkaniu. Przyszło sporo uczniów wyższych klas licealnych i przyszli ich profesorowie. Mówiłam o naszych doświadczeniach, oni byli z tego bardzo dumni. Widać było u nich patriotyzm lokalny i poczucie własnych możliwości.

– Czy kandydaci z Warszawy też się czymś wyróżniają?

– Dawniej wyróżniali się ubraniem, sposobem bycia, dziś już nie różnią się niczym. Panuje niestety przekonanie, że my wolimy młodzież z miasta. To

wierutna nieprawda. Przeciwnie, bardzo liczymy na kandydatów ze wsi – mówię o tych, którzy posiadają predyspozycje – właśnie dlatego, że oni nie mają obicia teatralnego, że niczego nie powielają, nawet swojej wyobraźni. To, co dają, jest rudymentalnie świeże, ich własne, zaskakujące. O wiele łatwiej odkryć w nich talent. Egzamin trwa co prawda dwa tygodnie, są trzy stopnie eliminacji, ale mimo to musi być dosyć powierzchowny. Dziecko miasta może próbować nas oszukać oglądą, kulturą, inteligencją nawet. A dziecko wiejskie pokazuje, czym jest naprawdę. Tylko że młodzież wiejska rzadziej przychodzi do szkoły, bo nie ma poczucia własnych możliwości.

– Czy wciąż są takie tłumy kandydatów do szkoły teatralnej?

– Kiedyś bywało po 200–300 osób na 20 miejsc, którymi szkoła dysponuje. W ostatnich latach zgłoszeń było mniej. Zastanawialiśmy się, czy chodzi o to, że aktorzy mało zarabiają, czy może czasy są niesprzyjające. I nagle w tym roku okazuje się, że znowu jest mnóstwo kandydatów.

– Dlaczego absolwenci szkoły chcą za wszelką cenę zostać w Warszawie? Przecież w teatrach krajowych mają większe możliwości.

– To zjawisko występuje na całym świecie. Każdy uważa, że stolica jest tym Klondike, gdzie robi się kariery. Nie umiem odpowiedzieć, czy lepiej na początek zagrać Hamleta w złej reżyserii, czy podawać tacę. Ja bym wybrała Hamleta, ale trudno uogólniać, bo w naszym zawodzie ogromną rolę odgrywa przypadek.

– Czy w Pani karierze odegrał on również dużą rolę?

– Oczywiście. O tym, jak trafiłam do

teatru opowiadałam, jak pan Jowiński, setki razy. Byłam fizylierką w wojsku, odesłaną jak wiele dziewcząt i chłopców, do teatryku. Robiłam to z początku bez większego przekonania, no, a potem, kiedy znaleźliśmy się na terenie Polski, wciąż jeszcze jako amatorka, zagrałam pierwszą prawdziwą rolę – Anielę w „Ślubach Panieńskich”, potem Pannę Młodą w „Weselu” obok takich tuzów teatru jak Woszczerowicz, Zelwrowicz, Kreczmar. Potem z kolegami z podziemnego PIST-u Zosią Mrozowską i Andrzejem Łapickim zdałam egzamin do szkoły teatralnej i w ten sposób trafiłam do teatru. Jestem więc trochę aktorką mimo woli.

– Ale to był wyjątkowo udany przypadek.

– Miałam różne lata: tłuste i chude, jak każdy aktor. Czasem myślałam: a może nie powinnam być poddawac się losowi, ale już było za późno. No i zawsze w gorszych okresach miałam zaodczuczenie płynące z pracy pedagogicznej.

– Czym jest dla Pani praca w szkole teatralnej?

– Dopelnieniem mojego zawodu, a z egoistycznego punktu widzenia – pożywką. Ucząc młodzież ja też się od niej uczę. Znajomość jej widzenia świata nie pozwala mi zastąpić w mojej formacji. Ta praca jest uzupełnieniem niedosytu, który odczuwa każdy aktor. Nie zagra się przecież wszystkiego, o czym się marzyło, to udaje się jednostkom. Młodzieży mogę natomiast przekazać to, co wydaje mi się, że wiem o roli, chociaż sama jej nie grałam. I to też jest spełnienie i rodzaj twórczości.

– Czy reżyseria dostarcza Pani podobnej satysfakcji?

– Nie mam żylki reżyserskiej. Zdałam egzamin reżyserski, żeby nie zajmować pozycji oczekującej, ale ta praca specjalnie mnie nie pociąga. Przy-

RYSZARDA HANIN

dokończenie ze str. 6

gotowuję od czasu do czasu warsztaty w szkole i to mi wystarcza. U aktorów następuje po pewnym czasie znużenie samym wykonawstwem. Chcą decydować o całości. Ja tego nie odczuwam. Lubię moment pracy z aktorami, ale później, kiedy dochodzi do przeniesienia sztuki na scenę, jest scenografia, są światła i trzeba tyle jeszcze spraw załatwić, brakuje mi energii i zdolności organizacyjnych.

– Co trzeba robić, żeby osiągnąć taką perfekcję warsztatową, jaką Pani osiągnęła?

– Ale ja jej wcale nie osiągnęłam! Nawet sympatię publiczności przypisuję bardziej cechom postaci, które gram, niż swoim umiejętnościom. Nie uważam się za człowieka, który wie wszystko. Nie ma aktora, który by tak o sobie myślał. Doświadczenie niczego nie ułatwia, zwłaszcza że staram się je odrzucać, żeby wydobyć z siebie coś nowego, zapomnieć o środkach, które mi już posłużyły. Zawsze większej satysfakcji dostarcza mi w efekcie rola, o której myślę, że jest nie dla mnie.

– Jak Pani reaguje na popularność?

– Z przymrużeniem oka. Miło jest wiedzieć, że ludzie mnie lubią jako aktorkę. W końcu po to się wykonuje ten

zawód. Ale trzeba mieć dystans do tych spraw.

– Czy popularność pomaga w życiu codziennym?

– I tak i nie. Czasem wchodzę do sklepu i widzę, że ktoś zachowuje się niegrzecznie, brutalnie, a nagle popatrzy, pozna i staje się słodziutki, uprzejmy, rozkoszny. Wtedy robi mi się wstyd i przykro.

– Zaczęłyśmy rozmowę od spraw codziennych. Chciałabym na koniec zapytać, czy w sferze codzienności jest coś, z czym trudno Pani żyć, z czym nie może się Pani pogodzić?

– Jeżeli chodzi o ogólną aurę, nastrój, to chciałabym, żeby ludzie mieli więcej spokoju w oczach, żeby nie było tak bardzo dziś widocznego rozedrgania.

– Dziękuję Pani za rozmowę.

**Rozmawiała
EWA DOBROWOLSKA**

Ryszarda Hanin-Pasternak urodziła się w 1919 roku we Lwowie. Była współzałożycielką Teatru I Armii Wojska Polskiego, w którym debiutowała rolą Anieli w „Ślubach panieńskich” w roku 1944. Ukończyła Państwową Wyższą Szkołę Teatralną w Łodzi, gdzie do roku 1949 występowała w Teatrze Wojska Polskiego. W Warszawie związała się najpierw z Teatrem Polskim, a następnie z Teatrem Dramatycznym, w którym występuje do dziś. Od roku 1952 jest pracownikiem dydaktycznym PWST w Warszawie. W roku 1957 otrzymała nominację na profesora nadzwyczajnego, a w roku 1974 – na profesora zwyczajnego tej uczelni. Jest laureatką Nagrody Ministra Kultury i Sztuki I stopnia (1975, 1981), Nagrody m. st. Warszawy (1983). Odznaczona Krzyżem Oficerskim OOP, Orderem Sztandaru Pracy II kl, Złotym Krzyżem Zasługi, odznaką Zasłużonego Nauczyciela PRL.